

Fredro z Krainy Humoru

Rozmowa **Anny Gordijewskiej** z **Mariuszem Olbromskim**,
literatem, dyrektorem Muzeum Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów
w Stawisku.



Czy Aleksander Fredro jest Panu bliski?

Oczywiście, to rodak z mojej „małej ojczyzny”. Aleksander Fredro herbu Bończa przyszedł na ten świat w Surochowie w 1793 roku, w wiosce położonej przy starej trasie kolejowej między Jarosławiem a moim rodzinnym Lubaczowem. Mniej więcej w odległości kilkunastu kilometrów. Fredrowie, byli bogatą szlachtą, mieli tytuł hrabiowski. W Surochowie był drewniany dwór, który później został przebudowany na pałac. Aleksander rósł w nim do trzeciego roku życia. Kiedy w dzieciństwie jeździliśmy tą trasą kolejową, moja mama mówiła: „Patrz, tu się urodził Fredro”. Ale nie było na co patrzeć. Stacyjka w Surochowie była mała, zaniedbana. Do dziś nic się tam nie zmieniło. Pałac Fredrów spalono w czasie II wojny światowej, a w latach 70. został rozebrany. W Lubaczowie, w domu moich dziadziów były książki Fredry. Czasem w codziennych rozmowach go cytowano. Może dlatego, że babcia Aniela, piękna kobieta w młodości, występowała w amatorskim teatryku w pobliskim Cieszanowie. Wystawiano sztuki Bałuckiego i Fredry. Kiedy zapomniała roli w „Ślubach panieńskich” dziadziuś, wtedy ognisty kawaler, przytomnie zerwał się z pierwszego rzędu i zasłonił kurtynę. Tym wielkopomnym zgoła czynem zwrócił na siebie jej uwagę. Zjednał sobie przychyłność przyszłej żony. Tak więc Fredro uroczo i dowcipnie, w jakimś stopniu, przyczynił się też do tego, że

zaistniałem nieco później na tym świecie. Oprócz przeżyć literackich, teatralnych, coś niecoś mu zawdzięczam.

Biografia Fredry związana jest nie tylko z ziemią lubaczowsko-jarosławską, przemyską, ale i lwowską...

Może przede wszystkim. To zresztą jest jeden krąg kulturowy. Mały Fredro z Surochowa wyjechał z rodzicami do swych dziadków, którzy mieszkali we dworze w Nienadowej nad Sanem, w pobliżu Przemyśla. Ten dwór do dziś istnieje, jest w rękach prywatnych. Fredro po okresie napoleońskim jakiś czas gospodarował w Jatwięgach, a później w pobliskiej Bieńkowej Wiszni koło Rudek, w pięknym pałacu, który zresztą sam, na prośbę ukochanej żony, zaprojektował i zbudował. Później przeniósł się do Lwowa, do dworku na Chorążczyźnie, gdzie tworzył, działał dla dobra miasta i kraju, i gdzie zmarł w 1876 r. Pochowany został w krypcie kościoła parafialnego w Rudkach. Jeśli nie liczyć jego podróży do Włoch, do Paryża, gdzie chodził na przedstawienia do teatru i tam zapoznał się bliżej ze sztuką sceniczną, jeśli nie liczyć romantycznej wycieczki razem z Napoleonem śladami hetmana Stanisława Żółkiewskiego do Moskwy, to można uznać, że mieszkał większość życia w pobliskich sobie miejscowościach, na tym szczególnym obszarze.

Dlaczego można mówić o „szczególnym obszarze”?

Dla mnie, ten obszar zwany niegdyś Małopolską Wschodnią, to jeden duchowy krąg. Istnieją tam miasta o podobnej historii, architekturze, w których panoramie dominują wieże kościołów i cerkwi, jeszcze często można tam spotkać zrujnowane synagogi. Realne świadectwa wieków wspólnego życia, wspólnej historii kilku narodów. To widać od razu. Ale jest jeszcze coś co się nazywa aurą duchową, która dawniej te miejscowości też łączyła. Z tej aury zrodziła się między innymi gwara lwowska „bałak”. Bo to jest właśnie obszar „Księstwa Bałaku”, którego Lwów był stolicą. Trzeba przypomnieć, że określenia tego użył po raz pierwszy w jednym z poematów Andrzej Chciuk, poeta i pisarz z Drohobycza. Wielbiciel tej cudownej gwary, słońca mowy kresowej. Języka, w którym słowa polskie, ruskie, jidisz, niemieckie, ormiańskie, wielu innych narodów połączone humorem, przeniknięte uśmiechem tworzą cudowną mieszaninę. To jakieś jedyne na świecie „esperanto” kilku narodów, którym bałakano ze sobą na fali porozumienia duchowego, poczucia wspólnoty, mimo różnic. Ukochaną gwarą potrafili porozumiewać się ludzie kilku narodów, z różnych środowisk: profesorowie lwowskich uczelni, szkół, inteligencja. Ale i batiarzy, i tak zwani zwyczajni – choć słowo to bardzo mylące – mieszkańcy wielu miast i miasteczek. Oczywiście „Księstwa Bałaku” nie ma i nie było na żadnej mapie. A jednak istniało. Wspólnie, z drugim.

A z jakim, proszę powiedzieć?

Dla mnie „tym drugim” jest literacka „Kraina Humoru”. Która powstała na tym samym, niewielkim obszarze. Mimo wszystkich tragedii historii. Właśnie ze specyficznej aury duchowej, ze specyficznej tradycji, z inteligencji i polotu serc. Bo właśnie z tego przecież regionu pochodzą pisarze obdarzeni szczególnym darem wywoływania śmiechu. I ich wspaniałe, mądre, krzepiące, bawiące nas do dziś dzieła. Począwszy od „ojca literatury polskiej” Mikołaja Reja z Żurawna nad Dniestrem, który pisał nie tylko poważne rozprawy, jak „Postylla”, czyli komentarze do Biblii. Bo jest on też autorem „Figlików”, które i dziś potrafią śmieszyć. To zbiór 236 ośmiowersowych epigramatów, wydanych w 1574 roku, uroczych perełek humoru. Jego najpopularniejsze obecnie dziełko „Krótka rozprawa między panem, wójtem, a plebanem”, zawiera wszak świetne fragmenty humorystyczne. W pobliżu Żurawna w Stryju urodził się we współczesnych już czasach i wychowywał Kornel Makuszyński, autor „Koziołka Matołka”, ale i szeregu innych „słonecznych” utworów dla młodzieży. To chyba nasz najbardziej pogodny pisarz w XX wieku. Ale Krainę Humoru tworzył też ks. bp. Ignacy Krasicki, przez lata związany z Przemyślem i jego wspaniała „Monomachia”, której akcja ponoć dzieje się w tym mieście.

No, a we Lwowie w XX wieku Marian Hemar...

Tak, jak najbardziej Marian Hemar, świetny poeta, autor trzech tysięcy tekstów uroczych i dowcipnych piosenek kabaretowych,

wielkich przebojów, takich jak: *Kiedy znów zakwitną białe bzy*, *Czy pani Marta jest grzechu warta*, *Ten wąsik*, *Nikt, tylko ty*, *Upić się warto*. Świetnie, że teraz we Lwowie powstał kabaret polsko-ukraiński inspirowany się twórczością Hemara, bo humor także łączy. A i Wiktor Budzyński, przed wojną dyrektor słynnej „Wesołej Lwowskiej Fali”, gdzie Szczepcio z Tońkiem bałakali, reżyser wielu słuchowisk, poeta, autor wodewili, m.in. „Preclarki z Pohulanki”. Henryk Zbierzchowski, twórca pieśni kabaretowych, komedii, takich jak „Małżeństwo Loli”, „Pojedynek” „Szczęście Gzymsa”. Także Horacy Safrin rodem z Monasterzysk na Podolu, który zebrał finezyjne anegdoty żydowskie. I dobrze, że je stale drukuje „Kurier Galicyjski” A także, a może nade wszystko, lwowski „książę poetów” Zbigniew Herbert z jego mądrym humorem, z jego świetną poetycką kreacją Pana Cogito i sławną na całym świecie ironią. I wielu, wielu innych. Trudno wymienić wszystkich. Ze współczesnych trzeba choć wspomnieć o Witoldzie Szolgini, czy Januszu Wasylkowskim. Pewnie zabrakło by szpalt gdybym miał o każdym choć kilka słów powiedzieć. Twórczość Fredry, który był genialnym samoukiem i wyrósł na naszego najwybitniejszego komediopisarza, jest odrębna i jedyna. Ale przecież jest częścią tego kręgu kulturowego, współtworzy magiczną, wspaniałą, literacką „Krainę Humoru”.

I ta literacka Kraina Humoru istnieje razem z Księstwem Bałaku?

Kraina Humoru istnieje i może będzie się jeszcze ubogacać. Trochę gorzej jest z „Księstwem Bałaku”, bo dzisiaj na skutek przemian cywilizacyjnych i historycznych bałak prawie zaginął. Już niewielu go pamięta i chce się nim cieszyć. A szkoda. Jeszcze w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych bałakiem posługiwano się dość często. Także w moim Lubaczowie, dokąd po wojnie przyjechało sporo osób z za wschodniej granicy. Czasy były trudne, ale ratowano się, między innymi, humorem. Przeplatany właśnie bałakiem, który długo po wojnie, także w przygranicznym Lubaczowie, jeszcze trwał.



Wnętrze pokoju Aleksandra hr. Fredry. Według fotografii Trzemeskiego.

(1887)



Czy może Pan podać przykład z tamtych czasów?

W PRL-u panował system, którego głównym zadaniem była naprawa problemów, które sam nieustannie tworzył. Pracowano wytrwale. Panował – że tak powiem – urodzaj niedoborów. Co roku obfitowało. Któregoś lata nie mogli wyprodukować środków owadobójczych. Ruszyła propaganda: „Imperialiści zrzucają stonkę z samolotów, by zniszczyć zbiory!” Na polach stonki było faktycznie mnóstwo. Pojawiły się plakaty. Na jednym z nich, który wisiał w domu mego dziadka w wychodku, stonka wyglądała jak groźny potwór z kosmosu. Ogromnych rozmiarów,

z okiem jak hełm kosmonauty, z mackami zakończonymi długimi palcami złodzieja. Niekiedy chodziłem z dziadziusem do sklepów, aby mu pomóc. I pamiętam taką rozmowę w „Sklepie żelaznym”. – *Czy som może gwoździ, czy stonka żziarła?* – pytał grzecznie dziadzius. – *Ali ło* – odpowiadał uprzejmie sprzedawca – *zziarła już kartofli, buraki, mnienso, koszuli i meszty w całym mieści. Ali gwoździ jeszcze ni. Bo ma po nich czekawkę. I dlatego som.* – *To ja poproszy te gwoździ mniejszy* – kontynuował dziadzius – *Bo może po dużych si zadławi i zdechni.* – *Niech się dzieje wola nieba, z nią się zawsze zgadzać trzeba* – odpowiadał cytatem z Fredry, wznosząc nabożnie oczy do góry, sprzedawca.

Jak rozwijała się twórczość autora „Zemsty”?

Tworzył skokami, nie w sposób ciągły. Miał okresy wzmożonego wysiłku twórczego, a potem milczenia. W roku 1818 w wieku dwudziestu kilku lat napisał pierwszą ważną komedię „Pan Geldhab”. Pierwszy etap jego twórczości przyniósł świetne komedie, m.in. „Męża i żonę”, „Cudzoziemczynę”, „Śluby panieńskie”, „Pana Jowialskiego”, no i „Zemstę” oraz „Dożywocie”. Fredro tworzył wówczas także wodewile i farsy, jak choćby: „Damy i huzary” oraz „Gwałtu, co się dzieje!” W 1835 roku po krytyce twórczości m. in. przez Seweryna Goszczyńskiego komediopisarz na 15 lat umilkł, pisał tylko „do szuflady”. Po wspomnianej przerwie wznowił działalność twórczą i wówczas powstało szereg świetnych dzieł, z których na

szczególną uwagę zasługują: „Wielki człowiek do małych interesów”, „Wychowanka”, „Rewolwer”. Wznosił swoje komediopisarstwo około sześćdziesiątego roku życia, zamknął pod osiemdziesiątkę. Nie ma w naszej literaturze analogicznego przypadku. Jego twórczość trwała łącznie 50. lat. Mało się o tym pisze i mówi, ale prócz talentu Fredro był ogromnie pracowity. I ciągle się uczył. To był wielki mistrz słowa polskiego. Każdy z etapów jego twórczości mógłby starczyć na osobną biografię twórczą. Obie są wspaniałe i różne. Każda z nich mogłaby być pełnym, osobnym dorobkiem życia wybitnego pisarza. A przecież komedie to nie wszystko. Pisywał wiersze, poematy, aforyzmy, no i cudowne bajki. Któż ich nie zna: „Małpa w kąpielu”, „Zupa na gwoździu” , „Paweł i Gawęł”. Osobnym, świetnie napisanym dziełem jest pamiętnik „Trzy po trzy”. W późnym okresie powstały „Zapiski starucha”, których już sam tytuł mówi o dystansie do siebie autora, zbiór aforyzmów. Stosował różne techniki komediowe, wiele poematów przynosi oryginalne eksperymenty wersyfikacyjne.

Czy Fredro był na co dzień wesoły?

Nie. Był ponurakiem. Hipochondrykiem i na starość coraz większym mizantropem. Może był wesoły we wczesnej młodości, kiedy szalał na balach. Później, w związku z przeżyciami z wojen napoleońskich, po rosyjskiej niewoli w Wilnie, miał powody do bycia w złym humorze. Ze względów zdrowotnych, ale też

innych. Galicja była w końcu zaborem, była niewolą. Jest taka świetna książka na ten temat Jarosława M. Rymkiewicza, „Fredro jest w złym humorze”. Od roku 1828 dręczyła pisarza podagra, bolesna choroba stawowa nie bez związku z jego przeżyciami wojennymi. Z roku na rok ataki podagry były coraz boleśniejsze, szczególnie w nocy Fredro nie mógł w ogóle spać. Pisał całe noce stojąc przy pulpicie. Miał przywiązane pióro do ręki, która go bolała, a koślawe litery w ostatnich latach jego życia przepisywał w dworku na Chorążczyźnie specjalnie zatrudniony kopista. Jeszcze później Fredro nie mógł całymi dniami wstać z łóżka. Dzieła, które nas bawią, powstawały często w szczególnych okolicznościach. Jednak trzeba też wspomnieć, że wielkim dla niego ratunkiem było szczęśliwe małżeństwo z Zofią z hr. Jabłonowskich, z którą się bardzo kochali. Myślę także, że jego twórczość była dla niego samego także autoterapią, radością tworzenia, jego wspaniałym darem dla społeczeństwa, które między innymi chciał chronić humorem przed apatią, po klęsce powstania listopadowego.

Czy Fredro był patriotą?

Tak, gorącym. Już w wieku szesnastu lat, kiedy do Galicji wkroczyły w 1809 oddziały księcia Józefa Poniatowskiego, zaciągnął się do Armii Księstwa Warszawskiego. W 1812 roku wziął udział w wyprawie na Moskwę. W czasie walk dostał się do niewoli rosyjskiej w Wilnie, z której sprytnie zbiegł i udał się do

Saksonii. Następnie walczył pod Dreznem, Lipskiem, Hanau, później w kampanii francuskiej – we wszystkich wielkich bitwach prowadzonych przez Napoleona. Awansował do stopnia kapitana. Kiedy skapitulował Paryż, w roku 1814, podał się do dymisji. Bił się dzielnie, był świetnym żołnierzem o czym mogą świadczyć odznaczenia, które otrzymał za zasługi wojenne. To Złoty Krzyż Virtuti Militari w 1812 roku, a dwa lata później Krzyż Kawalerski Legii Honorowej.

Po latach, w utworze „Pro memoria” pisał o tym lekko i dowcipnie. Przy okazji podał dość mało romantyczną wersję powołania poetyckiego, która osłabia zapal jego apologetów, wprawia w zakłopotanie uczonych teoretyków literatury:

Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.
Tęskniłem za obozem... nudziłem się przeto,
I ażeby coś robić, zostałem poetą.

Później, gdy walka zbrojna stała się – jego zdaniem – niemożliwa, świetnie gospodarował w Beńkowej Wiszni i walczył piórem.. Podejmował szereg wyjątkowo cennych dla społeczeństwa inicjatyw. Uczestniczył na przykład w kształtowaniu Zakładu im. Ossolińskich. Fredro był jednym z animatorów powstania kolei w Galicji. Korespondował w tej sprawie z Leonem Sapiehą, zabiegał

o fundusze na ten cel u bankierów w Wiedniu. Napisał do cesarza adres, w którym domagał się wprowadzenia języka polskiego w szkołach i urzędach, udziału Polaków w urzędach państwowych. Podpisał też petycję – wtedy, co warto podkreślić – o konieczności utworzenia wolnej Polski. Ogromnie zasłużył się nie tylko jako pisarz, ale też jako obywatel Lwowa. Miasto obdarzyło go honorowym obywatelstwem oraz pięknym pomnikiem według projektu Leonarda Marconiego z 1879 r., który stał w centrum Lwowa. Po wojnie monument na pewien czas przewieziono do Wilanowa, a od 1956 roku zdobi rynek we Wrocławiu, gdzie trafiła po wojnie duża część ludności ze Lwowa.



Czy w związku z tym, że Fredro jest Panu bliski, także w Stawisku zaistniała impreza fredrowska?

Oczywiście, nazwana przekornie w nawiązaniu do znanego hasła ze słusznym minionego okresu „Fredro wiecznie żywy”. Ma charakter doroczny i na Mazowszu się przyjęła. W tym roku niedawno ze sztuką „Mąż i żona” pojawili się w Stawisku młodzi i bardzo utalentowani absolwenci Akademii Sztuk Teatralnych we Wrocławiu Natalia Bloch i Piotr Czekalski, aktor Teatru Pinokio

w Łodzi. Młodzi wystąpili ze spektaklem we własnej adaptacji, scenografii i reżyserii.

Przyczynił się Pan kiedyś do utworzenia Muzeum Juliusza Słowackiego w Krzemieńcu, Józefa Conrada-Korzeniowskiego w Berdyczowie, a później w jakimś stopniu też do utworzenia Muzeum Aleksandra Fredy w Rudkach. Jak do tego doszło?

Mam taką niegroźną – jak mnie uspokajają lekarze – manię. Polega ona na chęci tworzenia muzeów. Kiedyś na próżno próbowano mnie z niej wyleczyć w Przemyślu, gdzie powstał nowy, okazały gmach muzeum. I dwa inne muzea. O Muzeum Fredry marzyłem od dawna. W 1990 roku byłem po raz pierwszy w pałacu Fredrów w Beńkowej Wiszni. Chodząc po salach razem z prof. Bogdanem Zakrzewskim z Wrocławia, wybitnym fredrologiem, już wtedy snuliśmy plany. Ale pałac jest ogromny, mocno zaniedbany. Później powracałem do tematu z panem Jackiem Dmitrowskim, dyrektorem Muzeum Regionalnego w Dębicy. Ale remont pałacu pochłonąłby ogromne kwoty i trwał bardzo długo. Na razie przeprowadzono prace związane z inwentaryzacją. To w przyszłości będzie pomocne do prowadzenia dalszych przedsięwzięć, niezależnie od wartości naukowej samej inwentaryzacji. Mieści się tam teraz filia uczelni rolniczej w Dublanach. Jest tam jedna sala poświęcona Fredrze, a prowizoryczną ekspozycję zorganizował dyrektor tej placówki.

Ten pałac to budynek wyjątkowy...

Zupełnie. Bo nie tylko zaprojektowany i zbudowany przez pisarza, nie tylko jest piękny architektonicznie, ale to miejsce wyjątkowe dla naszej całej kultury literackiej. W nim mieszkał w latach 1828-1846 żoną Zofią z domu Jabłonowską, i tam powstały najlepsze komedie Fredry z pierwszego okresu jego twórczości. Później gospodarował w nim i tworzył jego syn Jan Aleksander Fredro, również utalentowany komediopisarz, a następnie syn Jana - Andrzej Maksymilian Fredro, literat i poeta. Zatem przez trzy pokolenia ród Fredrów tym budynku tworzył ze słów pałac kultury polskiej. Ale ponieważ szybkie utworzenie w tym budynku muzeum było niemożliwe, powstał więc projekt, żeby we wnętrzach zabytkowej, barokowej dzwonnicy kościoła w Rudkach, gdzie pisarz - jak wspomniałem - został pochowany i jest kaplica rodowa Fredrów, zorganizować małą ekspozycję. Swoją manią zaraziłem Adama Chłopka z Drohobycza, który włączył się i ogromnie zaangażował w zorganizowanie tej skromnej ekspozycji. Uroczystość jej otwarcia i poświęcenia w 140. rocznicę śmierci wielkiego komediopisarza odbyła się z udziałem J.E. ks. abp Mieczysława Mokrzyckiego, aktorów Polskiego Teatru ze Lwowa i Teatru Fredreum z Przemyśla, licznie zgromadzonych mieszkańców Rudek. Teatr Fredreum był tam zresztą po raz kolejny, bo co roku fredrowcy odwiedzają Rudki, aby złożyć kwiaty na sarkofagu swego patrona i zapalić znicze. Wiele razy, kiedy jechaliśmy w ramach „Dialogu Dwóch

Kultur” do Krzemieńca, to po drodze przyjeżdżaliśmy do Rudek. Często towarzyszył nam zespół Teatru Fredreum. Nigdy nie zapomnę jak któregoś roku wspaniale zaprezentował się na stopniach pałacu w Beńkowej Wiszni z fragmentami „Zemsty”. Była piękna pogoda, pałac w blasku wrześniowego słońca wyglądał urzekająco, a aktorzy stworzyli w tej wyjątkowej scenerii cudowne kreacje. Ale chyba największym dla mnie przeżyciem był spektakl Polskiego Teatru Ludowego ze Lwowa na uroczystości ponownego pochówku Aleksandra Fredry w 1991 r., kiedy zespół kapitalnie przedstawił „Dawny spór” Mariana Hemara. To błyskotliwie napisana jednoaktówka, w której Hemar przypomina atak Seweryna Goszczyńskiego na Fredrę. Goszczyński był oburzony, że Fredro po upadku powstania listopadowego pisze i wystawia komedie, że jest obojętny na sprawy narodowe. Spór taki rzeczywiście miał miejsce, bo autor „Zamku Kaniowskiego” zaatakował Fredrę w 1935 roku na łamach „Powszechnego Pamiętnika Nauk i Umiejętności”. Trzeba wspomnieć, że w zasadzie tym atakiem Goszczyńskiego nikt się specjalnie nie przejął, bo społeczeństwo uwielbiało jego komedie, oprócz samego Fredry, który umilkł na wiele lat. Goszczyński, sam jak wiemy wspaniały poeta i patriota, nie zrozumiał intencji Fredry. Ale zrozumiał je, na przykład książkę Adam Czartoryski, niekoronowany król Polski na emigracji w Paryżu, który do autora „Zemsty” skierował list gorąco zachęcając go do dalszej twórczości. Zatem właśnie w Rudkach pierwszy raz spotkałem Teatr Polski ze Lwowa i od razu pojąłem,

że mam do czynienia ze zjawiskiem artystycznym świetnym i zupełnie wyjątkowym.



Czy prawdą jest znane porzekadło, że „śmiej się, to zdrowie”?

To powiedzonko niesie prawdę. Jest rzetelną informacją. Dzisiaj wiadomo na podstawie doświadczeń lekarzy, a także po licznych badaniach klinicznych, że śmiech wpływa pozytywnie na krążenie i ciśnienie krwi. Powoduje wzmożoną pracę serca. Śmiejąc się nabieramy więcej powietrza do płuc, a więc dotleniamy organizm. Co ma dalsze i wielorakie pozytywne skutki. Ćwiczymy mięśnie szkieletu, relaksujemy ciało. Śmiech, między innymi łagodzi problemy z astmą i migreną. Przyczynia się do osłabienia bólu. Generalnie więc polepsza stan zdrowia. A

jak twierdził sam Fredro:

Szanuj zdrowie należycie

bo jak umrzesz stracisz życie”.

Czy ma oddziaływanie tylko somatyczne, czy wpływa też na psychikę?

Jak wiadomo organizm człowieka stanowi jedno. Dobre zdrowie fizyczne warunkuje dobre zdrowie psychiczne. I na odwrót. Śmiechem na poważnie zajmowali się filozofowie, począwszy od Arystotelesa. Humor ma ogromne znaczenie terapeutyczne. Często jest wyrazem życzliwości, przychylnego stosunku do innych ludzi, świadczy o pełnym rozwoju osobowości człowieka. Czyli Fredro krzepi, a wraz z nim wszyscy twórcy „Krainy Humoru”.

Co w takim razie zaleca Pan jako lekarstwo?

Rano dwie pigułki z dzieł Fredry, w południe dwie łyżki z Hemara, wieczorem pigułka z Makuszyńskiego. Zwłaszcza gdy w domu są dzieci i można poczytać „Koziołka Matołka”. Nacierać głowę maścią „Tońko i Szczepcio”, będzie lepiej! Smarować uszy bałakiem. I nie trzeba będzie chodzić do szpitala, czekać w

długich kolejkach. Oszczędza się fundusze na leki w aptece. Jeśli nie pomoże, to nie zaszkodzi. Mogę na to udzielić bezpłatnie każdemu gwarancji na sto lat. Na piśmie.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Ta to ja dziękuj. Ta z taku magnifiku to sam mniód bałakać. Padam do nużek i całuj rączki.

Rozmawiała Anna Gordijewska

*Tekst ukazał się w „Kurierze Galicyjskim” we Lwowie, nr 8 (328)
26 kwietnia – 16 maja 2019 r.*

Międzynarodowy

Konkurs Filmów
Krótkometrażowych
podczas Festiwalu
Polskich Filmów
w Austin w Teksasie
2019



Austin w Teksasie, fot. wikipedia

Podczas tegorocznego, 14. Festiwalu Polskich Filmów w Austin w Teksasie, jak co roku będzie organizowany **Międzynarodowy Konkurs Filmów Krótkometrażowych**. Zapraszamy zatem studentów szkół filmowych oraz niezależnych filmowców do zaprezentowania swojej pracy przed publicznością w Austin.

Warunki:

Przyjmujemy filmy o długości do 10 minut, mające związek z Polską, są inspirowane polską kulturą, twórca/twórcy są Polakami lub mają polskie pochodzenie. Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach: film animowany i nieanimowany.

Przykłady:

- film jest produkcji polskiej (lub polsko-amerykańskiej),
- reżyser, główny aktor/aktorka, autor zdjęć filmowych, scenarzysta, montażysta mają polskie korzenie,
- film jest w języku polskim,
- film jest nakręcony w Polsce,
- film jest o Polsce lub inspirowany polską kulturą.

Nie pobieramy opłaty za przesłanie filmu.

Akceptowane filmy będą pokazywane w specjalnym segmencie Shorts. Zwycięzców wybierze zespół sędziów z branży filmowej, ze środowisk akademickich i mediów.

Bardzo nam zależy, abyśmy mogli zaprezentować interesujące prace w Austin – mieście kultury, kreatywnym i twórczym, w którym mieszka wielu miłośników filmu.

Szczegóły można znaleźć na stronie:

<https://www.austinpolsishfilm.com/competition>



Będziemy się cieszyć z każdej nadesłanej propozycji.

2019 Austin Polish Film Festival

E-mail: shortfilmcompetition@jsokolowska.com

Festiwalowe

wspomnienia z Austin



Joanna Sokołowska-Gwizdka

W dniach 8-11 listopada 2018 roku mieszkańcy Austin i okolic, już po raz trzynasty mogli zapoznać się z najnowszym polskim kinem. Projekcje odbyły się w sali kinowej Austin Film Society (AFS Cinema, 6259 Middle Fiskville Rd., Austin, TX). Towarzystwo Filmowe z Austin współpracuje z Festiwałem Polskich Filmów od lat, nie tylko udostępnia salę kinową, ale też poza czasem festiwalowym pokazuje retrospekcje twórczości znanych

polskich reżyserów. W październiku 2018 roku można było zobaczyć filmy Andrzeja Wajdy.

Festiwal Polskich Filmów już na stałe zagościł na wielokulturowej mapie Austin i cieszy się dużym zainteresowaniem. Dzięki festiwalowi polska grupa etniczna jest widoczna, a polska kultura i historia wzbudza zainteresowanie. Publiczność, głównie amerykańska, przychodzi na projekcje przygotowana, o czym świadczą zadawane pytania podczas Q&A (*questions and answers*). Przyjeżdżają też widzowie z San Antonio, Dallas czy Houston.

Prowadzącym festiwal był Sebastian Smoliński - młody krytyk filmowy z Warszawy, który w ciekawy i pełny szczegółów sposób zapowiadał każdy film.



Filmy fabularne

Jakie filmy publiczność w Austin mogła zobaczyć podczas XIII Festiwalu? Jak co roku mamy tu dużą różnorodność tak tematyczną, jak i gatunkową. Pokazywane są filmy zarówno młodych, utalentowanych twórców, jak i uznanych polskich reżyserów. Widzowie mogli poznać nie tylko uniwersalne historie ludzkie i dramaty psychologiczne, zapoznać się ze specyfiką polskiego humoru, ale i dowiedzieć się faktów z polskiej historii, która rzutuje na współczesny odbiór świata i specyfikę polskiego kina.

Na początek dwa filmy reżysera młodego pokolenia Alexa Pietrzaka – „**Ja i mój tata**” oraz „**Juliusz**”.

Piękny film „Ja i mój tata” dotknął trudnych relacji między ojcem a synem. Dawid, 38 lat, (Łukasz Simlat) opiekuje się swoim ojcem Edwardem, 79 lat, (Krzysztof Kowalewski) z pogłębiającą się chorobą Alzheimera. Ojciec – marynarz, całe życie był w podróży i widział syna tylko kilka razy w roku. Dawid, mający już swoją rodzinę, próbuje nadrobić stracony czas dzieciństwa i młodości i odbudować relacje z ojcem. Jednak postępująca choroba, coraz bardziej ojca zabiera, trudno do niego dotrzeć, trudno wydobyć wspomnienia. Piękną i jakże dojrzałą puentą filmu, co zadziwia zważywszy na młody wiek reżysera jest, bezwarunkowa miłość. Opiekując się osobą chorą na tak poważną chorobą, która zaczyna dominować, jakże ważne jest okazywanie miłości. Te osoby są zagubione, czują, że są ciężarem dla bliskich, trzeba z nimi być i je kochać. Tak po prostu.

„Juliusz” też dotyczy relacji między ojcem i synem, jest to jednak film w innej konwencji – komedii z elementami *pure nonsensu*. Tytułowym bohaterem jest uporządkowany nauczyciel sztuk plastycznych (Wojciech Mecwaldowski). Jego głównym problemem w życiu jest jego ojciec Jan Peszek) – nieustająco imprezujący artysta-malarz. Kiedy senior przeżywa drugi zawał serca, a mimo tego odmawia zmiany stylu życia, Juliusz musi znaleźć sposób na to, by wpłynąć na jego zachowanie.

Trochę w podobnej *pure nonsensowej* konwencji był film „**Atak paniki**” w reżyserii Pawła Maślony. Jest to wielowątkowa opowieść, w której zwykli ludzie wpadają w wir nieoczekiwanych zdarzeń, co radykalnie odmienia ich życie. Atrakcyjna autorka kryminałów na randce spotyka swojego byłego partnera. Wracające z wakacji małżeństwo wybiera najgorsze miejsca w samolocie. Nastolatek po raz pierwszy pali trawkę i przeżywa totalny odlot. Młoda dziewczyna ryzykuje, że koleżanki zdemaskują ją jako gwiazdę porno. Panna młoda z pomocą psiego psychologa rodzi na własnym weselu, a w tym czasie kelner próbuje uratować planetę. Jednym słowem komedia, w której nic nie jest tym czym się wydaje, a codzienność zamienia się w czyste wariactwo.

Aleksander Pietrzak





Relacje rodzinne pokazane zostały w pięknym i jakże prawdziwym w swym dramatyzmie filmie **„Jak pies z kotem”** w

reżyserii Janusza Kondratiuka, opartym na prawdziwej historii relacji pomiędzy braćmi Kondratiukami.

W postać Janusza Kondratiuka wcielił się Robert Więckiewicz, a w jego starszego brata Andrzeja – Olgierd Łukaszewicz. Akcja filmu zaczyna się w Kazachstanie, gdy chłopcy są mali. Potem widz stopniowo wchodzi w skomplikowane relacje rodzinne, poznaje żale z przeszłości, stosunek do rodziców, odmienności charakterów, rywalizację w tym samym zawodzie reżysera. Gdy Andrzej dostaje udaru, mimo wcześniejszych niepoukładanych relacji, Janusz decyduje się zaopiekować bratem. Obaj mężczyźni na przemian okazują sobie czułość i toną we wzajemnych pretensjach. Do tego dochodzą żony braci, ich przeżycia i charaktery – pogrążona w rozpacz i alkoholu Iga Cembrzyńska (Aleksandra Konieczna) i zdezorientowana całą sytuacją Beata Kondratiuk (Bożena Stachura). Podczas czasu, poświęconemu bratu, Janusz równolegle pracuje jako reżyser i wykładowca w szkole filmowej. Scena ze studentami wskazuje na odmienność pokoleniową w poglądach na sens zawodu reżysera. Dla starszego pokolenia najważniejsza jest wartość artystyczna filmu, dla młodego – sprawność techniczna. Czym Andrzejowi Kondratiukowi zostaje mniej czasu, tym dla obydwu braci budowanie relacji między sobą staje się najważniejsze. Widzimy zbliżanie się i oddalanie, współczucie, tolerancję, a na końcu miłość, z której pokładów bracia nie zdawali sobie sprawy.

Skomplikowane relacje rodzinne pokazane zostały także w kolejnym filmie „**Cicha noc**” w reżyserii Piotra Domalewskiego. Jest to także film o emigracji, rozterkach z nią związanych i marzeniu o domu i rodzinie. Adam (Dawid Ogrodnik), na co dzień pracujący za granicą, w Wigilię Bożego Narodzenia odwiedza swój rodzinny dom na polskiej prowincji. Zastaje rodzinę pełną obaw, skonfliktowaną, z problemami. A to on ma ważną wiadomość do przekazania – zostanie ojcem. Polska tradycja wigilijna, przeplata tu się z nierozwiązanymi rodzinnymi problemami. Szczególną rolę do odegrania w intrydze ma jego ojciec (Arkadiusz Jakubik), brat (Tomasz Ziętek) oraz siostra (Maria Dębska). Świetny film, o bardzo trudnym rodzinnym konflikcie, tęsknocie za celem w życiu i dobrych relacjach z bliskimi.



Bożena Stachura

Kolejnym filmem pokazywanym podczas festiwalu był film nagrodzony w Cannes i entuzjastycznie przyjęty na światowych festiwalach, czyli **„Zimna wojna”** w reżyserii Pawła Pawlikowskiego.

Historia trudnej miłości dwojga ludzi, którzy nie umieją żyć bez siebie, ale równocześnie nie potrafią być razem. Wydarzenia pokazane w „Zimnej wojnie” rozgrywają się w latach 50. i 60. XX wieku, w Polsce i podzielonej Europie. Życie w socjalistycznym kraju powoduje, że w bohaterach rodzi się pragnienie wolności twórczej i życiowej. W tle wybrzmiewa wyjątkowa ścieżka

dźwiękowa, będąca połączeniem polskiej muzyki ludowej z jazzem i piosenkami paryskich barów minionego wieku. Film powstał na podstawie losów rodziców reżysera.

„Kler” Wojciecha Smarzowskiego wzbudził w Polsce wiele emocji. Film dotyka sprawy nadużyć w polskim kościele katolickim. Przed kilkoma laty tragiczne wydarzenia połączyły losy trzech księży katolickich. Teraz, w każdą rocznicę katastrofy, z której cudem uszli z życiem, duchowni spotykają się, by uczcić fakt swojego ocalenia. Na co dzień układa im się bardzo różnie. Lisowski (Jacek Braciak) jest pracownikiem kurii w wielkim mieście i robi karierę, marząc o Watykanie. Drugi z księży – Trybus (Robert Więckiewicz) jest wiejskim proboszczem. Sprawując posługę w miejscu pełnym ubóstwa, coraz częściej ulega ludzkim słabościom. Niezbyt dobrze wie o sobie też Kukule (Arkadiusz Jakubik), który – pomimo swojej żarliwej wiary – właściwie z dnia na dzień traci zaufanie parafian. Nad księżmi stoi arcybiskup Mordowicz (Janusz Gajos), używający politycznych wpływów przy budowie największego sanktuarium w Polsce.

Bartosz Nowacki



„**Na drodze**” to thriller krótkometrażowy Bartosza Nowackiego. Podczas długiej podróży kobieta zabiera autostopowicza, który od samego początku nie wzbudza jej zaufania. Kobieta czuje się

zagrożona i postanawia zabrać kolejną osobę. Pomędzy trójką nieznajomych nawiązuje się pełna napięcia gra. Skrywane tajemnice doprowadzą do tragicznych w skutkach wydarzeń.

„Dywizjon 303. Historia prawdziwa” w reżyserii Denisa Delića to polsko-brytyjski dramat wojenny oparty na książce Arkadego Fiedlera „Dywizjon 303”.

Grupa polskich lotników bierze udział w obronie Anglii przed nalotami niemieckimi w czasie II wojny światowej. Początkowo niechętni Anglicy, widząc doskonałe wyszkolenie i odwagę młodych Polaków, pozwalają im na wzięcie czynnego udziału w walce za sterami brytyjskich samolotów. Wśród asów polskiego lotnictwa jest m.in. były wykładowca szkoły lotniczej w Dęblinie Witold Urbanowicz, który dowodzi filmowym Dywizjonem 303. Czas między lotami lotnicy spędzają w brytyjskich kantynach, gdzie zawierają znajomości z Anglikami, zakochują się i manifestują swoje przywiązanie do Polski.

Film ten został wyjątkowo dobrze przyjęty przez amerykańską publiczność. Brawurowe sceny akcji w powietrzu zrobiły wielkie wrażenie na młodych odbiorcach. Bohaterstwo polskich lotników podziało na wyobraźnię. Studenci, którzy przyszli na film, ze względu na Polkę, dziewczynę jednego z nich – byli pod takim wrażeniem filmu, że pytali się wychodzących z kina, czy są

Polakami i się kłaniali.



Filmy dokumentalne

Debiut reżyserski Marty Prus **„Over the Limit”** to opowieść o rosyjskiej gimnastyczce artystycznej Ricie i cenie jaką musi zapłacić za sukces. Rita większość swojego życia spędza na treningach. Ma 20 lat i przygotowuje się na Igrzyska Olimpijskie w Rio de Janeiro. Trenuje od 13 lat, a od 7 lat jest wychowanką ośrodka treningowego prowadzonego przez Irinę Viner-Usmanovą, niegdyś wybitną zawodniczkę, a obecnie trenerkę i

żonę potężnego rosyjskiego oligarchy. Marta Prus planowała zrobić film o zabarwieniu politycznym, a wyszedł przejmujący dokument psychologiczny.

„Pamięć śladów”, fabularyzowany dokument w reżyserii Ignacego Szczepańskiego, powstał na podstawie autobiograficznej książki Romy King z Los Angeles **„Footsteps in the Snow”**.

W wyniku agresji ZSRR na Polskę setki tysięcy Polaków zostało deportowanych na Syberię, w tym rodzinę Romualda Michniewicza, m.in. jego kilkumiesięczną córkę – Romeę, autorkę książki. Romuald, polski oficer, aresztowany przez władze sowieckie i osadzony na Łubiance, natychmiast po zwolnieniu na mocy amnestii, po układzie Majski-Sikorski, wstąpił do Armii Andersa i rozpoczął starania o odszukanie i uwolnienie swojej rodziny. Udało mu się ocalić żonę i córkę, ale na Syberii, w dalekim Bułajewie został jego ojciec Antoni i babcia Agnieszka.

Film dostał I nagrodę w kategorii najlepszy film dokumentalny na Festiwalu Filmów Polonijnych „Losy Polaków 2018” w Warszawie.



Od lewej: Łukasz Będkowski, Roma King, Sebastian Smoliński



Roma King



Roma King

Konkurs Filmów Krótkometrażowych

Od 2015 roku podczas Festiwalu Polskich Filmów organizowany jest Konkurs Filmów Krótkometrażowych. Intencją konkursu jest tworzenie forum dla niezależnych artystów i zachęcanie do pokazywania krótkich filmów powstałych na całym świecie, które w jakikolwiek sposób dotyczą Polski lub jej twórcy ma polskie pochodzenie. Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach – film animowany i film nieanimowany. Nagrody przyznało ośmiu jurorów spośród amerykańskich i polskich środowisk twórców filmowych, wykładowców i mediów. W kategorii film animowany nagrodę zdobyła Karina Paciorkowska za film „**You are overreacting**” (Przesadzasz), a w kategorii film nieanimowany

Filip Jacobson za film „**Walk**” (Spacer). Drugie miejsce zajęli Marta Magnuska za film „**The Other**” (Inny) – film animowany i Przemysław Stański za film „**Fishy Wish**” (Życzliwy pomysł) – film nieanimowany.

Program dla dzieci

W ramach programu festiwalowego jest też program dla młodych widzów. Dla dzieci w wieku 3-8 lat pokazywane były filmy rysunkowe, takie jak kultowy „Bolek i Lolek”, a starsza młodzież mogła zobaczyć film „**Tarapaty**” w reżyserii Marty Karwowskiej. Julka ma 11 lat i chodzi do szkoły z internatem. Zaczynają się wakacje i Julka zamiast do rodziców do Kanady jedzie do ciotki do Warszawy. W tej samej kamienicy mieszka Julek i jego pies Pulpet...



Zaproszeni goście

Wśród zaproszonych gości, oprócz prowadzącego festiwal Sebastiana Smolińskiego był reżyser młodego pokolenia (urodzony w 1992 roku) Aleksander Pietrzak, reżyser filmów „Ja i mój tata” oraz „Juliusz”. Przybyła też aktorka, która wcieliła się w rolę Beaty Kondratiuk w filmie „Jak pies z kotem” – Bożena Stachura. Widzowie mogli porozmawiać z reżyserem filmu „Na drodze” – Bartoszem Nowackim (urodzonym w 1985 roku).

Wspaniałym gościem festiwalu była pani Roma King z Los Angeles, która przyjechała na projekcję filmu na podstawie jej



Organizatorem Festiwalu Polskich Filmów w Austin jest Austin Polish Society. Za organizację festiwalu odpowiedzialna była Joanna Gutt-Lehr – dyrektor Austin Polish Film Festival oraz członkowie rady dyrektorów Austin Polish Society: Margaret Meub – prezes, Angelika Firlej – wiceprezes, Art Gmurowski, Anna Hand, Magda Szatanik-Boudni, Kris Matyszewski.

Fotografie: Marek Proga

Szymon Brodziak –
najlepszym
na świecie twórcą

fotografii czarno-
białej



Szymon Brodziak

Jesteś tym, co widzisz – to motto Szymona Brodziaka (ur. 1979 r.), autora zmysłowych, niekonwencjonalnych czarno-białych zdjęć, które zyskały uznanie i odniosły komercyjny sukces. Jego rozpoznawalny styl sprawił, że krytycy okrzyknęli go “artystycznym spadkobiercą Helmuta Newtona”. Sam Brodziak nie kryje fascynacji i inspiracji twórczością legendarnego

fotografa, a jego żona June Newton, w dowód uznania dla talentu polskiego artysty zamieściła osobistą dedykację w wydany w 2014 roku autorskim albumie "BRODZIAK One". Album miał swoją oficjalną premierę w Rzymie. Można w nim znaleźć blisko 300 monochromatycznych zdjęć podsumowujących pierwsze 10 lat zawodowej działalności Brodziaka. Album "Brodziak One", otrzymał też Złoty Medal w kategorii „książka” w międzynarodowym konkursie *Prix de la Photographie Paris*.

Szymon Brodziak, z wykształcenia ekonomista, szybko porzucił wyuczony zawód, by asystować przy sesjach mody i kampaniach wizerunkowych, będących dziś głównym polem jego działalności. Od tego czasu zdobył wiele nagród na międzynarodowych konkursach fotograficznych w Stanach Zjednoczonych i w Europie, w tym 3 złote medale na *Prix de la Photographie Paris* 2012.

W roku 2013 podczas Festiwalu Filmowego w Cannes, Fashion TV uznało go za najlepszego na świecie fotografa czarno-białych kampanii reklamowych.

W 2015 roku fotografie Szymona Brodziaka można było oglądać w berlińskim Muzeum Fotografii Fundacji Helmuta Newtona na wystawie "Newton, Horvat, Brodziak". Wystawa była olbrzymim wyróżnieniem i dowodem uznania dla twórczości Szymona

Brodziaka, który jest pierwszym fotografem z Polski i najmłodszym spośród artystów zaproszonych do współpracy przez to prestiżowe muzeum.

Kolejny rok przyniósł artyście następne sukcesy. W Stanach Zjednoczonych zdobył pierwsze miejsce w kategorii Moda w dwóch konkursach: International Photography Awards (2016) oraz w nagradzającym najlepsze zdjęcia monochromatyczne na świecie Black & White Spider Awards (2016).

Jego prace są także stale doceniane w Europie, gdzie w ostatnich latach otrzymał liczne medale i wyróżnienia w kilku edycjach międzynarodowego konkursu *Prix de la Photographie Paris*, zarówno za kampanie reklamowe, jak i projekty autorskie, w tym tytuł najlepszego fotografa reklamowego roku 2016.



Szymon Brodziak, Ballerina

12 kwietnia 2019 roku ogłoszono wyniki prestiżowego Konkursu Fotograficznego One Eyeland. Szymon Brodziak zajął w nim pierwsze miejsce, potwierdzając tym samym swoje miejsce w światowej czołówce artystów zajmujących się fotografią czarno-białą.

One Eyeland (www.oneeyeland.com) to najlepsza na rynku galeria online i zarazem społeczność internetowa, w której swoje

prace udostępniają i do której należą topowi fotografowie z całego świata. Przyznawane przez One Eyeland nagrody są szczególnie istotne dla fotografów, ponieważ w skład jury wchodzi uznani artyści z całego świata.

Dobre zdjęcie to takie, które wzbudza emocje, skłania do refleksji i nie pozostawia widza obojętnym – mówi Szymon Brodziak.

I faktycznie twórczość Polaka nie pozostawiła jury (oceniającego blisko 2 000 zgłoszeń z 65 krajów) obojętnym, bo został wyjątkowo doceniony. Za swoje monochromatyczne prace (Drzewo, Żywopłot, Ballerinas, Rolls-Royce, Noti, Molo, Loop, Labirynt i Ana Portret) uzyskał aż 90 punktów (!), zdecydowanie wyprzedzając w rankingu pozostałych laureatów.

Nagroda One Eyeland to kolejny laur dla Szymona Brodziaka – jego twórczość doceniano już wielokrotnie. Jeszcze jako student otrzymał nagrodę Johnnie Walker Keep Walking Award za

ciągłe urzeczywistnianie swoich marzeń oraz pasję wyznaczania nowych ścieżek w poszukiwaniu piękna.

Szymon Brodziak sam siebie określa mianem „visualltellera”, czyli osoby opowiadającej historie poprzez fotografie.

„Myślę czernią i bielą, patrzę w czerni i bieli i widzę kadry czarno-białe” – mówi Brodziak. A w jego wyjątkowych, monochromatycznych historiach, które są niczym kadry z nigdy nienakręconych filmów, główną rolę grają kobiety, które, jak sam przyznaje, uwielbia fotografować. To właśnie ich czarno-białe wizerunki, w zaskakujących lokalizacjach i pozach, nie pozostawiają widza obojętnym i sprawiają, że zdjęcia, które Brodziak tworzy do kampanii reklamowych same stają się dziełami o niepowtarzalnym charakterze.

Jednak dla Szymona Brodziaka ważne są nie tylko wyróżnienia, które otrzymuje za swoją twórczość, ale także dobro, które dzięki swojej pracy może szerzyć. Dlatego też nagroda One Eyeland to nie jedyny sukces artysty w bieżącym miesiącu. 5 kwietnia podczas licytacji, która odbyła się w warszawskim Domu Aukcyjnym Desa Unicum w ramach kolacji charytatywnej zorganizowanej przez Fundację na rzecz dzieci z Domu Dziecka Pod Lipami w Radymnie, czarno-biała sesja w wykonaniu Szymona Brodziaka została wylicytowana za rekordową kwotę 195 000 złotych.

Ponadto artysta stale wydaje specjalne edycje druków i fotografii oraz bierze udział w aukcjach, dzięki którym do tej pory na cele

charytatywne udało się zebrać ponad 150 000 złotych.

Prace Szymona Brodziaka można obejrzeć i kupić w jego autorskich galeriach fotografii w Poznaniu (Brodziak Gallery) i w Warszawie, a także online na stronie www.szymonbrodziak.com, gdzie znajdują się także informacje i materiały filmowe o artyście i jego twórczości.

12 czerwca 2019 r. odbyło się spotkanie autorskie z Szymonem Brodziakiem w **Vivid Gallery** we Wrocławiu. Tematem przewodnim była fotografia jako dzieło sztuki i próba oceny ważności poszczególnych jego warstw: tematu, kadru, światłocienia i wyzwań logistycznych i technicznych.

Prace Szymona Brodziaka nadal można będzie obejrzeć w Vivid Gallery. Część z nich weszła do stałej ekspozycji.

(materiały prasowe)

Galeria



Szymon Brodziak, Vivid Gallery



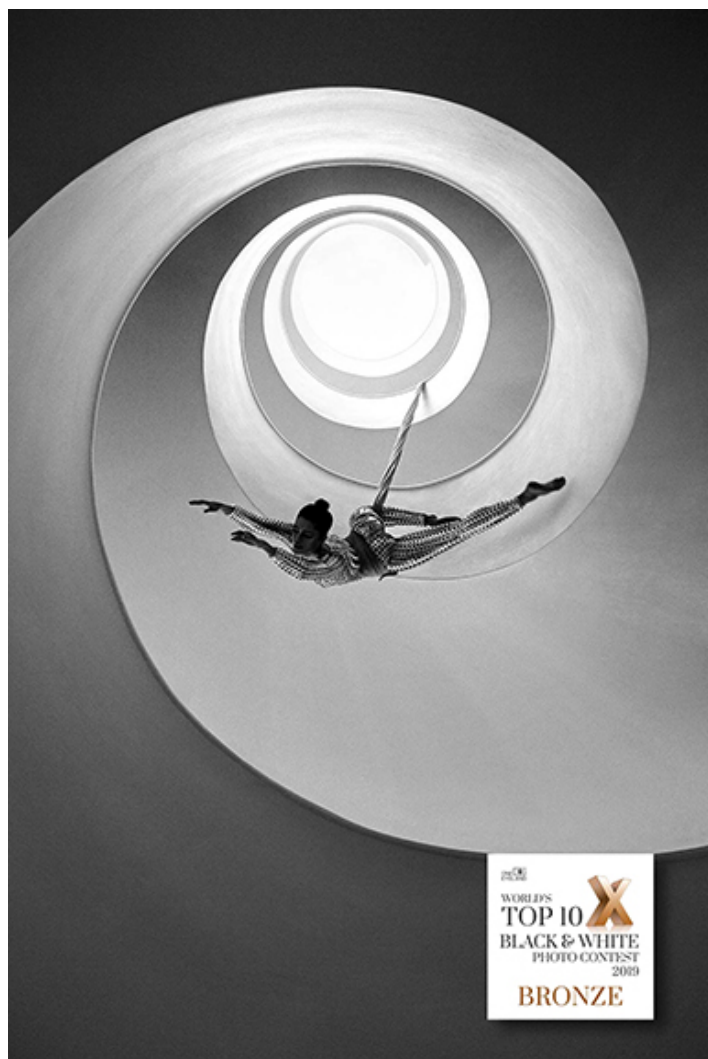
Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Molo



Szymon Brodziak, Loop (Pętla).



Szymon Brodziak, Vivid Gallery



Szymon Brodziak, Vivid Gallery

Z pustych serc

w próżną formę



fot. cgtrader.com

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Nie raz już zastanawiano się nad problemem twórczego pisania poza krajem, z dala od polskiego społeczeństwa. Nie chodzi o czasowe pobyty pisarza za granicą, ale o Polaków stale

przebywających poza ojczyzną. Wystarczy spojrzeć na same tytuły artykułów i antologii, aby zdobyć niezłą orientację w materii: „Mowa bez ziemi”, „Ryby na piasku”, „Opisanie z pamięci”, „Cena wolności” itp. Te nagłówki dostatecznie mówią o anormalnych warunkach piszącego na emigracji w ojczystym języku. O ile jest zrozumiałe i naturalne, że pisarze wyrzuceni z ojczyzny przez kataklizm historyczny i nie mogący z powodu sytuacji politycznej do niej powrócić, piszą dalej, kontynuują swoje powołanie artystyczne czy naukowe, o tyle dorastająca za granicą młodzież jest w innej sytuacji. Kiedy młody człowiek podejmuje pióro, nawet we własnym kraju w normalnych warunkach, robi krok pełen ryzyka. Jest on szansą, a może się stać wielką przygodą. Debiutant musi opanować narzędzia swego fachu, umieć przekonać do siebie kolegów, znaleźć odbiorców. Jeżeli ma talent, czuje gust czytelnika, to startuje pod pomyślnymi znakami. Debiut wśród obcych w mało znanym otoczeniu bez zapewnionych czytelników jest zupełnie inną propozycją.

Takie trudne początki miała grupa młodych Polaków, która w latach pięćdziesiątych znalazła się w Anglii, precyzyjniej: w Londynie. Na przykładzie ich terminowania, najpierw w Kole Polonistów, a następnie w redakcjach pism studenckich „Życie Akademickie”, „Merkuriusz Polski” i „Kontynenty” można obserwować ich początki. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że byli oni dziećmi, kiedy wybuchła wojna, najstarszy z nich liczył

czternaście lat. Języka polskiego douczali się w sowieckich posiołkach, w obozach wojskowych, na pracach rolnych. Nie była to szkoła najlepsza.

Równocześnie poddani byli interferencji języków obcych z angielskim na czele, który był nie tylko językiem społeczeństwa, z którym związali swoje losy, ale zwycięskim medium, które podbijało wszystkie kontynenty stając się bezspornym językiem światowym.

U tych młodych, mimo rozległych perspektyw, jakie ukazywał język angielski, zwyciężył jednak język polski, niedouczony, taki jakim władali, jako język pierwszy i kulturowo decydujący. On się stał materią ich pisarskiej twórczości. Układając po polsku pierwsze wiersze czuli, że weszli na niezmiernie uciążliwą, ale właściwą i jedyną drogę.

Normalną kolejną sprawą, powinni się byli uczyć od swoich starszych kolegów o przedwojennym dorobku i kontynuowanej twórczości, a nie brakowało ich w stolicy Wielkiej Brytanii, w której schronił się legalny rząd i powstały liczne placówki dające poczucie namiastki państwa, również instytucje kulturalne jak uniwersytet, dynamiczna biblioteka, teatr, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, bogata prasa i szereg domów wydawniczych. Logiką nowego pokolenia nie poszli w ślady starszych, bo kierunek wytyczony przez nich nie był dla

debiutantów atrakcyjny. Młodzi czuli się inni, mieli tylko ograniczoną pamięć ojczyzny, a już byli po części z Zachodem życia.

Z początku funkcjonowali jako dziwny fenomen, *curiosum* zgola na polskiej scenie. Ale w miarę jak szli dalej własną drogą, nie potrzebowali wskazań innych, odezwały się głosy niezadowolenia i cenzury. Krytykowano szczególnie ich twórczość poetycką.

Poezja współczesna nie ma czytelnika. Trudno jest powiedzieć czy to z winy samych poetów, którym się zarzuca odejście od człowieka, czy należy zapisać to na karb elitarności poezji wymagającej zbyt wiele od odbiorcy, czy wreszcie winić ducha czasu objawiającego się w innych mediach. Można oczywiście kroczyć wśród epigonów i „podobać się” mało wybrednemu audytorium, ale to nie każdego zadawała. Oryginalność i nowatorstwo są zawsze trudne i ci, którzy im hołdują, płacą wysoką cenę w postaci braku zrozumienia i popularności. Nie mniej stanowią one wyzwanie raz po raz podejmowane. Nie inaczej było z poetami londyńskimi, o których mowa. Zarówno ich niegodzenie się z zastanym, jak i brak pisarskiego doświadczenia i w rzeczy samej nikły dorobek oraz zbyt schematyczne określanie swojej postawy, sprawiły, że byli w swoim czasie celem ataków starszych pisarzy.

Potykał się z nimi solidnie w polszczyźnie osadzony **Zygmunt**

Nowakowski (1891-1963). Nie rozumiał rozterki młodych w wyborze języka. Pasował ich łaskawie na biegłych praktyków przewidując, jak się miało okazać, trafnie, że mimo odgrążania się, przy języku polskim pozostaną. Natomiast **Jan Rostworowski** (1919-1975), poeta popularny, którego lubiane wiersze zapełniały sale, zgłosił zasadniczy sprzeciw. Dla niego już sama myśl, samo podawanie w wątpliwość sensu tworzenia na uchodźstwie w języku polskim, było herezją. Jego schronienie się w mowie, którą znał znakomicie, było szczęśliwsze od sytuacji młodych, ciągle jeszcze terminatorów, których wabiły różne perspektywy i nęciły szanse na opanowanie bardziej przydatnego języka.

Jan Rostworowski był znacznie od Zygmunta Nowakowskiego młodszy i wiekiem i wykształceniem zbliżony do grupy młodych poetów. Nie dostrzegał jednak ich problemu, jaką była niezgoda na tematykę i formę pisarstwa starszych kolegów. Widział w niej po prostu chęć odejścia od człowieka, w tym wypadku od człowieka emigracyjnego i ochotę służenia sztuce dla sztuki. Dziwił się, że młodzi, którzy w lwiej części nie posiadali biografii wojennej, zainteresowani byli tematyką odmienną i przewrotnie lekceważyli symbole swoich ojców, którzy dopiero co wyszli, dotkliwie doświadczeni, z kataklizmu wojennego. Zawieszeni między niemożnością podążania wydeptaną ścieżką a dramatem przypisania do języka pozbawionego konkretów i rzeczywistości, którą wyrażała, jasno widzieli swoją niepewną przyszłość. Chcieli

wyść na pisarzy, mierzyli wcale wysoko nie mogąc liczyć na czytelnika, który im będzie towarzyszył, odrzucali równocześnie epigoństwo i twórczość okolicznościową, pisarską polonijność w sensie zamkniętych horyzontów, taryfy ulgowej i braku ambicji.

Rostworowski dostrzegał jedynie odżegnywanie się od losu grupy wychodźczej dla pustego hołdowania czystej twórczości. Dlatego przepowiadał „palec piszący na ścianie 'mane tekel fares' ich artystycznej porażki”. Dziwiło go, że młodzi nie przewidywali sukcesów, że spodziewali się pustki. Sami ją wytworzyli i dlatego byli dla niego ludźmi osobliwymi, trochę z innej planety, ludźmi, którzy znaleźli się mimo woli w skomplikowanej sytuacji.

Wolność mają. Wolność – że zapożyczę się u Miłosza – przed strachem zniewolonego umysłu. I to ich tu trzyma. Na jak długo? Trudno przewidzieć. Może dopóty, dopóki strach przed próżnią nie okaże się silniejszy niż strach przed zniewolonym umysłem.

Taki los przepowiadał wiele lat temu poeta wówczas mocno osadzony na emigracji, wzięty i celebrowany liryk. Czy później miał jakieś wątpliwości, co do swojej prognozy? Bo „strach przed próżnią” okazał się jednak słabszy. Młodzi, o których pisał tak namiętnie, postarzelali się na emigracji, za to Rostworowski wrócił do Polski. Wyroki przyszłości są niezbadane, ale prywatne

decyzje zasługują na szacunek. W cytowanym już artykule (Haracz wolności, *Tydzień Polski*, 11.03.1961) poeta krakowski pomówił nas ponadto, że uciszyliśmy w sobie „teologiczny dialog” i że przelewamy „z pustych serc w próżną formę”. Dlatego, zdaniem autora, z tym bagażem nie wnijdziemy do Królestwa.

Wyrokovanie o zbawieniu bliźniego jest czynnością pochopną. Chcę wierzyć, że także w tym wypadku nasz krytyk nie będzie miał ostatniego słowa.

Turystyka na wschód od RFN-u

W jaki sposób podział Europy przez „żelazną kurtynę” wpłynął na rozwój turystyki? Z jakimi zjawiskami mamy obecnie do czynienia w turystyce w Europie Środkowej i Wschodniej i jakie wyzwania przed nią stoją? To były główne tematy międzynarodowej konferencji na temat

dziedzictwa i perspektyw antropologii turystyki, jaka odbyła się na Uniwersytecie Jagiellońskim w 2015 roku. Rok temu amerykańskie wydawnictwo Rowman & Littlefield opublikowało zbiór wykładów z konferencji pod tytułem „*Antropology of Tourism in Central and Eastern Europe*”, który ukazał się pod redakcją *Sabiny Owsianowskiej* (adiunkt na Wydziale Turystyki i Rekreacji Akademii Wychowania Fizycznego w Krakowie, wykładowczyni na UJ) oraz *Magdaleny Banaszkiewicz* (adiunkt w Instytucie Studiów Międzynarodowych UJ i wykładowczyni w Akademii im. Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w Krakowie).



Magdalena Banaszkiewicz

Jolanta Łada-Zielke:

Antropologia to nauka o człowieku. Czy jej poddyscyplina - antropologia turystyki - jest nowa?

Magdalena Banaszkiewicz:

Niezupełnie. Pierwszy raz pojęcie to pojawiło się na początku lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. W trakcie zjazdu amerykańskiego towarzystwa antropologicznego zebrała się osobna grupa antropologów zainteresowanych turystyką, którzy wyjeżdżali w teren, aby badać zwyczaje dzikich, prymitywnych plemion i przy okazji spotykali się z turystami. Doszli do wniosku,

że zachowania ludzi na styku tych dwóch odrębnych kultur są interesujące i warto zacząć je badać.

Czy za polskiego prekursora tego kierunku możemy uznać Bronisława Malinowskiego, przyjaciela Witkacego, który badał zwyczaje plemion afrykańskich?

Tak. Malinowski prowadząc swój dziennik dał dowód na to, jak doświadczenie podróżowania wpisuje się w jego pracę naukową. On daje tu świadectwo o sobie nie tylko jako o badaczu, ale i jako podróżniku, czyli jest też właściwie turystą. Sama antropologia jako dyscyplina wyrosła na gruncie kolonializmu. Dzięki koloniom, antropolodzy jako badacze mogli jechać w teren, a struktury kolonialne gwarantowały im bezpieczne prowadzenie badań. Było to na początku lat dwudziestych XX wieku. Ale w tym samym czasie zaczęła się rozwijać turystyka, także w ramach imperiów kolonialnych. I te dwa nurty spotkały się ze sobą w latach siedemdziesiątych.

Polski tytuł zbioru wykładów z konferencji brzmi „Antropologia turystyki w Europie Środkowej i Wschodniej”. Czy czterdziestoletni okres izolacji tej części Europy od Zachodu przez żelazną kurtynę pozostawił skutki w turystyce?

Pierwotnie książka miała nosić tytuł „Antropolgia turystyki po

upadku żelaznej kurtyny”. Ale nasi wydawcy stwierdzili, że byłoby to zbyt historyczne, mało marketingowe i dlatego skończyło się na Europie Środkowowschodniej, ze zwróceniem uwagi na wątek środkowoeuropejski. Książka ukazała się w wydawnictwie amerykańskim, dla którego wszystkie państwa na wschód od RFN należą do Europy Wschodniej. Wprowadzenie pojęcia „Europa Środkowa” też było poprzedzone długą korespondencją z wydawcami, których usiłowaliśmy przekonać, że taki region istnieje i ma własną tożsamość. W okresie komunizmu inna była sytuacja takich krajów jak Polska, Czechy, Bułgaria, Węgry, a inna w Związku Radzieckim, który miał własną politykę turystyczną. I te konsekwencje do dziś dnia są widoczne. Pokazuje to chociażby popularność wśród Polaków wybrzeża Adriatyckiego, np. Chorwacji, która też w jakiś sposób nawiązuje do nostalgii za czasami PRL-u. Wiąże się z tym pojęcie zwane „wyobraźnią turystyczną”, czyli wszelkimi uprzedzeniami, które sprawiają, że do niektórych miejsc jeździ się chętnie, a innych się unika. Tak jak kiedyś Związek Radziecki, tak dzisiaj Federacja Rosyjska, sprowadza się w wyobraźni turystycznej tylko do paru miejsc: Sankt Petersburg, Moskwa, ewentualnie Złoty Pierścień.

Ale jedna z anglojęzycznych wykładowczyń wybrała się w podróż kolejką transsyberyjską! Choć opisuje, jak z duszą na ramieniu przyjęła przekąskę od jednej z rosyjskich babuszek, które na peronach sprzedają pierożki własnej

roboty.

Pierożki nie posiadają, niestety, certyfikatu żywnościowego Unii Europejskiej, a babcie nie pieką ich w sterylnych warunkach. Ten przykład pokazuje, że podróżując, z jednej strony chcemy przełamywać bariery i doświadczać nowości, inności, a z drugiej mamy ograniczenia kulturowe, które sprawiają, że tego czy innego nie zrobimy. Jedziemy dokądś z nastawieniem, że poznamy bliżej tamtejszą kulturę próbując lokalnych potraw, ale mamy tak zwane granice przyswajalności. Wiąże się z tym angielskie pojęcie „eatable” czyli „jadalne”. Są ludzie, którzy nie zjedzą szarańczy, węża, lub surowej ryby. Ta granica kulturowa, dla jednych nieprzekraczalna, dla innych będzie ciekawym doświadczeniem, służącym przy okazji przełamywaniu własnych ograniczeń.

Oprócz wyżej wymienionej turystyki kulinarnej pojawiają się w książce takie pojęcia, jak turystyka wolontariacka, jeżeli wyjeżdżamy dokądś, aby demonstrować w obronie praw człowieka, albo ochrony środowiska. Wystarczy wspomnieć, ilu Polaków wzięło udział w Pomarańczowej Rewolucji na Ukrainie, na przełomie lat 2004-2005. Po powrocie do kraju te osoby nadal wspierają takie akcje, propagując je w internecie, szukając sponsorów. Istnieje też bardzo twórczy odłam zjawiska, turystyka kreatywna, np. wyjazd na warsztaty koronczarskie do Bobowej w

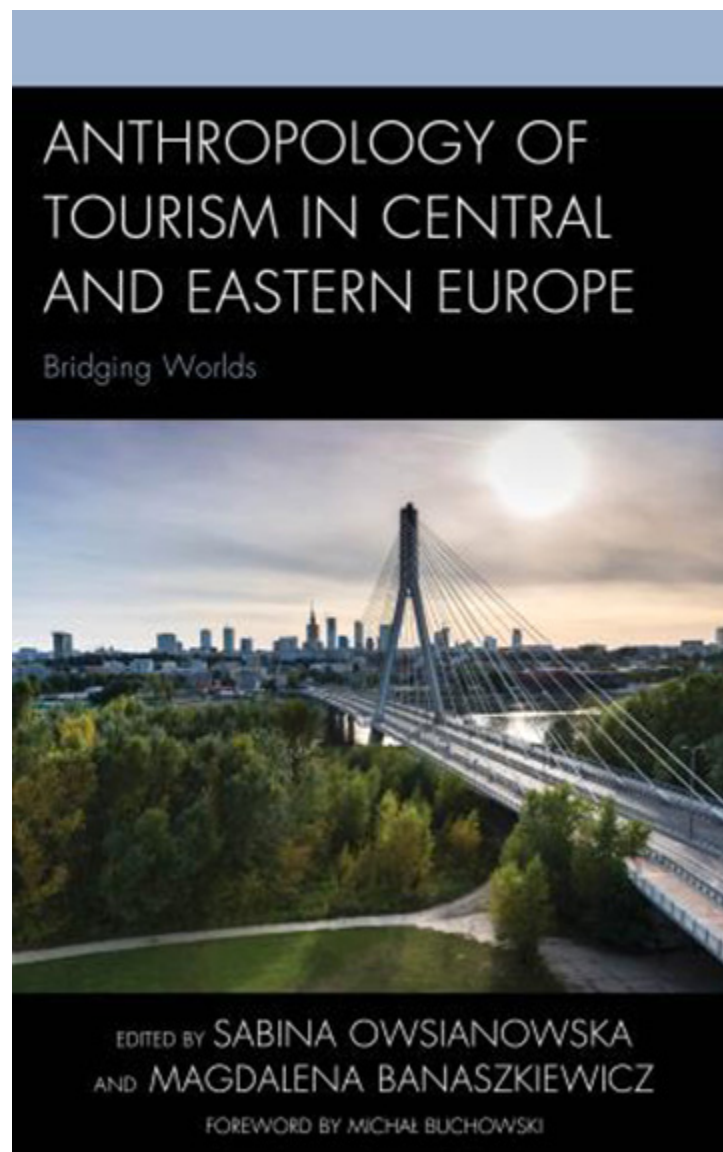
Nowosądeckiem, albo na zajęcia z garncarstwa do Medyni Głogowskiej koło Łańcuta.

Turystyka daje także szanse rozwoju środowisk lokalnych, pielęgnowania dziedzictwa kulturowego. Przykłady z Bobowej i z Medyni pokazują, że coś, co było zapomniane i uważane za niepotrzebne, zyskuje na wartości, kiedy przyjeżdżają turyści gotowi zapłacić za tę atrakcję. Wtedy też i miejscowi zaczynają patrzeć na to inaczej. Widać to właśnie na gruncie turystyki etnicznej. Oferta niektórych regionów ogranicza się tylko do tego, ale zarabiają na tym bardzo duże pieniądze, a jednocześnie wpływają na tożsamość kolejnych pokoleń.

Ale są i negatywne zjawiska w dzisiejszej turystyce.

Występują one głównie w Europie, w obrębie turystyki kulturowej. Nie musimy szukać daleko. W Krakowie obserwujemy zjawisko zwane „overtourismus”, czyli „naddturystyka”. W samym centrum miasta, w szczycie sezonu, nie spotkasz miejscowych, bo oni unikają tłumów wycieczek i hałasu. Po drugie, właściciele lokali tak podnoszą ceny, że mieszkańców po prostu na to nie stać. Po trzecie ceny mieszkań i czynsze w centrum miasta gwałtownie rosną, dlatego część Krakowian wyprowadziła się na peryferie. Inny negatywny przykład, to wizyty w Tatrzańskim Parku Narodowym, gdzie turyści jedzą, piją i zostawiają śmieci. Jeżeli robi tak dziesięć

osób, pozostaje to prawie niezauważalne. Jeżeli pięćset, ma to już swoje konsekwencje dla przyrody. Jednak stosuje się w niektórych krajach środki zaradcze. W Wenecji, która jest „ofiara turystyki”, wprowadzono dzienny limit turystów, którzy mogą wjechać do miasta. Mają też obowiązek zapłacić dzienny podatek turystyczny, który wynosi 10-15 dolarów dziennie. Istnieją więc różne formy regulowania nadmiernego ruchu turystycznego.



W jednym z tekstów podano przykład Bułgarii, dokąd przybywa mnóstwo amatorów plażowania, taniego alkoholu i łatwego seksu, czyli jest to, mówiąc po angielsku „alcotourism”.

Na Zachodzie reklamuje się Bułgarię na *billboardach* właśnie jako kraj taniego alkoholu i rozrywek. Na pewno marketing turystyczny ma wpływ na to, kto odwiedza dany kraj. Tani produkt przyciąga określoną grupę klientów. Jeśli w Bułgarii ceny zostałyby podwyższone, część tych osób na pewno zrezygnowałaby z wyjazdu. Ale tak dzieje się nie tylko w Bułgarii. Generalnie możemy powiedzieć, że istnieje turystyka wypoczynkowa i rozrywkowa, sprowadzana do tzw. „trzech S”: „sea, sun, sand”, czyli „morze, słońce, piasek”. Czasami dodawane jest do tego czwarte „s”, czyli seks. I to jest typowa turystyka rekreacyjna, ograniczona do hotelu *all inclusive*, którego się nie opuszcza, bo można tam jeść i pić bez ograniczeń. Jest też turystyka kulturowa, „trzy E”: „education, entertainment, exciting”, które oznaczają edukację, rozrywkę i zachwyty (podniecenie), ale w sensie intelektualnym. Im bardziej będziemy kierować ofertę w stronę „trzech E”, tym bardziej zwiększamy szanse na równowagę w turystyce. Ale też nie wszyscy turyści, którzy zwiedzają, albo przyjeżdżają na koncerty muzyczne, zachowują się poprawnie. Stąd wynika duża rola edukacji w sektorze turystycznym.

Czy robi się coś konkretnego w tym kierunku?

Na Uniwersytecie Jagiellońskim mamy nową specjalizację „Relacje międzykulturowe w turystyce”. Chcemy, żeby nasi studenci nie tylko nauczyli się obsługi ruchu turystycznego, systemów rezerwacyjnych, układania programów i pilotowania wycieczek. Chcemy, żeby mieli świadomość odpowiedzialności, jaka na nich spoczywa, jako na przyszłych organizatorach turystyki. Uczymy ich etyki zawodowej, żeby podczas oprowadzania brali pod uwagę różnice kulturowe. Inaczej będzie mówiło się o dziedzictwie holokaustu do grupy polskich licealistów, inaczej do młodzieży z Izraela, a jeszcze inaczej dla turystów ze Stanów Zjednoczonych. Myślę, że turystów można obciążać tylko częściowo za te negatywne zjawiska. Jacy turyści przyjeżdżają i co robią, zależy w dużej mierze od poziomu rozwoju tej branży w danym kraju, no i w pewnym stopniu od mieszkańców, którzy na tym zarabiają. Jeżeli mieszkańcy pozwalają na takie czy inne zachowania, a nawet je popierają, to wszystko jest możliwe. Dajmy na to, ktoś prowadzi knajpę, albo *pub* i otwiera „happy hour” od godziny 22:00, w ramach której goście mogą pić na umór do rana za jedyne pięć funtów. Niech więc się potem nie dziwi, jak leżą przed wejściem we własnych wymiocinach. Przy takim szybkim zarobku zysk jest krótkotrwały, za to negatywne konsekwencje pozostają na dłużej.

Jak na tym tle wyglądają polscy turyści?

Różnie. Jeżeli spojrzeć się na statystyki, można dostrzec piętno „żelaznej kurtyny”. Sytuujemy się bliżej turystów z Europy Wschodniej, niż tych z Europy Zachodniej, którzy pewne procesy mają już za sobą. Aczkolwiek też są to uogólnienia, bo jeśli spojrzymy na Anglików, którzy jeszcze kilkanaście lat temu przyjeżdżali do Krakowa dla rozrywki, biegali goli i pijani po rynku, to nie możemy mówić o wyższości kultury anglosaskiej nad słowiańską. U nich są to pozostałości kolonializmu, przez co traktują wszędzie lokalną społeczność tak, jak traktowali ją konkwistatorzy w koloniach: my tu rządzymy, bo mamy pieniądze, a wy macie nam służyć. Oczywiście są to bardzo daleko idące stereotypy, ale jednak trochę zakorzenione w mentalności. Można to poznać po sposobie zwiedzania. Inaczej robi to turysta z Azji, inaczej przybysz ze Stanów, który przyjeżdża na Stary Kontynent, widzi budynek mający więcej niż pięćset lat i właściwie modli się do niego. A dla nas jest to tylko jeden z lokalnych kościołów.

Na temat Polski jako celu wycieczek, albo urlopów, też panują pewne stereotypy. Na przykład Niemców bardziej pociąga Rosja, bo widzą w niej coś egzotycznego. A Polska to dla nich taki kraj „pomiędzy” Wschodem a Zachodem. Dopiero jak przyjadą np. do Krakowa, otwierają oczy ze zdumienia i zachwytu.

Na ten temat również prowadzone są badania. Jedno z nich

pokazało, że Polska jest postrzegana jako kraj o bardzo bogatym dziedzictwie, dużej gościnności, ale nudny. Turyści nie wiedzą, jaka jest jednoznaczna tożsamość Polski, która sytuuje się właśnie pomiędzy Wschodem a Zachodem. Na egzotykę Rosji wpływa po pierwsze fakt, że jest postsowiecka, czyli w pewnym sensie „barbarzyńska”, a z drugiej strony nostalgia za czasami imperializmu carskiego. Trzeba też wziąć pod uwagę historyczne związki niemiecko-rosyjskie i eksport niemieckich księżniczek do tego kraju, co też „nakręca” wyobraźnię turystyczną. Z Rosją Niemcy liczą się do dziś w sensie politycznym i gospodarczym, tak jak jedno – nawet było – imperium liczy się z drugim. My jesteśmy ich sąsiadem, do którego nie pojedzie się w pierwszej kolejności. Zakładam, że jeśli Niemiec ma do wyboru Polskę lub Francję, wybiera tę drugą możliwość. A Franzuzi już właściwie od czasów wielkiej rewolucji 1789 roku inwestują w tworzenie wizerunku państwa, które potrafi wypracować sobie nowoczesność na gruncie tradycji. Natomiast nasz wizerunek to trochę kultury, trochę natury, sporo gościnności, skojarzenie z Solidarnością, papieżem Janem Pawłem II i Lechem Wałęsą. Kraków nie wyróżnia się na tle innych miast, które cieszą się dużą popularnością w Europie Środkowej, jak na przykład Praga czy Budapeszt. Dlatego powinniśmy prowadzić świadomą politykę turystyczną, która nie będzie ograniczać się do odfajkowania kolejnych milionów turystów, którzy lądują na lotnisku w Balicach, bo to wcale nie przekłada się na ich jakość. To, że przylatują na jeden lub dwa dni i zostawiają pieniądze w

jakimś apartamencie należącym do sieci nieruchomości, albo w *pubie* czy restauracji, nie wpływa na nasz rozwój regionalny. Powinniśmy mieć turystów, którzy pójdą do muzeum, wezmą udział w jakiejś imprezie kulturalnej. Ale my nie mamy takiej imprezy, jak choćby festiwal muzyczny w Salzburgu, do którego nie trzeba nikogo zachęcać. Są też ludzie, którzy nie dostają biletów, ale i tak chcą być tam w momencie, kiedy to się będzie działo, bo a nuż spotkają kogoś sławnego na ulicy? Musimy zastanowić się, jak uatrakcyjnić naszą ofertę.

Dane na temat książki są dostępne pod linkiem:

<https://rowman.com/isbn/9781498543811/anthropology-of-tourism-in-central-and-eastern-europe-bridging-worlds>

Spektakl „Helena” Marty Ojrzyńskiej w Santa Monica

19 maja 2019 roku w Magicopolis Theater w Santa Monica w Kalifornii odbył się spektakl „HELENA”, napisany i zagrany przez aktorkę Teatru Starego w Krakowie o Martę Ojrzyńską. Organizatorem przedstawienia był Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej.



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.

Marta Ojrzyńska:

Postacią Heleny Modrzejewskiej zainteresowałam się pracując w Teatrze Starym w Krakowie. Od 2005 roku jestem w zespole aktorskim. Niemal codziennie mijałam obraz Heleny Modrzejewskiej – kopię słynnego obrazu Tadeusza Ajdukiewicza, wiszący w foyer teatru. W 2015 roku przyjechałam do Los Angeles i tutaj spojrzałam na postać Modrzejewskiej z nowej perspektywy – perspektywy kobiety, która podobnie jak ja

przyjechała do Ameryki w poszukiwaniu nowego życia i nowych możliwości. Doceniłam jej ogromny talent, wielkie ambicje i ogromny dorobek artystyczny.

W tym roku zgłosiłam się do pani Maji Trochimczyk z Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej w Los Angeles, z propozycją przygotowania spektaklu o tej wielkiej artystce. Bardzo się ucieszyła, ustaliłyśmy datę premiery i miejsce, a ja rozpoczęłam prace nad pisanem scenariusza i opracowaniem sztuki.

Było to duże wyzwanie, bo sama pisałam tekst, reżyserowałam i grałam. Po raz pierwszy pracowałam w ten sposób. Mam doświadczenie reżyserskie i dramaturgiczne, natomiast nigdy wcześniej nie zrobiłam monodramu. Bartosz Nalążek zrobił piękne video, które kręciliśmy na Hollywood Blv. i w domu Modrzejewskiej w Arden. Był również reżyserem światła. Sztuka jest napisana w języku polskim, tylko fragmenty sztuk z repertuaru Modrzejewskiej gram w języku angielskim.

Przedstawienie zostało bardzo dobrze odebrane. Jestem ogromnie szczęśliwa, że doszło do premiery w Teatrze Magicopolis w Santa Monica. Tam jest magiczna, bardzo piękna scena. Dziękuję Maji Trochimczyk za zaproszenie i wielkie wsparcie. To było wielkie wyzwanie i wspaniała przygoda.

Moim marzeniem jest teraz podróżowanie z tym spektaklem śladami Modjeskiej/Modrzejewskiej po Ameryce i Polsce.

Galeria



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.



Marta Ojrzyńska, jako Helena Modrzejewska, fot. Ignacy Żarski.



Kadr z video, fot. Bartosz Nalązek.



Kadr z video, fot. Bartosz Nalązek.



O Marcie Ojrzyńskiej i spektaklu „Helena” w magazynie „Culture Avenue”:

<https://www.cultureave.com/helena-prapremiera-sztuki-marty-ojrzyńskiej-o-helenie-modrzejewskiej-w-kalifornii/>